

Zupełnie nowy i genialny Jack London wreszcie po polsku

Napisał Robert Stiller

Jack London to wielki człowiek i pisarz, wielki Amerykanin, sam przez się będący wielką sprawą, wielką i sensacyjną przygodą w dziejach ludzkości. Jego spuścizna to również wielka nauka dla nas wszystkich, a przede wszystkim dla młodych. Kto chce, niech przerzuci ten wstęp i zaczyna czytać od brutalnej opowieści *Tysiąc śmierci*. Przypuszczam jednak, że tych kilka słów na początek to także nie byle jaka sensacja i że będzie odkryciem dla wielu naszych miłośników jego twórczości.

Warto, aby wreszcie prawdę poznali czytelnicy, którzy już pokochali go dzięki temu, co nie do końca było zniszczone w setkach tysięcy tomów, jakie sprzedawano im pod nazwiskiem tego pisarza.

Oto jeden z przykładów tej maszyny.

Tytuł książki: *Nowele*. Wydawca i rok: Iskry 1985. Zawartość: 30 opowiadań bez układu i składu, bez żadnej selekcji, przypadkowy bałagan, od najlepszych do najgorszych. Objętość: 350 stron. Nakład: 50 tys. Papier: jak makulatura.

Druk: szary, drobny i nieczytelny. Projekt okładki: żaden. Sklejenie: rozsypuje się.

Takiego śmiecia wyprodukowano mimo to w samych Iskrach bodajże 10 wydań prócz wyżej opisanego. A gdzie indziej?

Wszędzie. Gdzie popadnie. W różnych wydawnictwach. Pod takim samym lub innym tytułem. Bo ten śmieć się sprzedawał.

Łącznie setki tysięcy nakładu.

Trzeba zapytać: Czy w sumie aby nie miliony?

Nasza obecna edycja ma to naprawić.

W tej tragicznej sytuacji, w tym jak najcięższym okresie dla książki polskiej, mimo wszystko szansa jest korzystna.

Właśnie dlatego, że niszczyciele stworzyli *puste miejsce*.

Dla czytelników i nabywców. Czyli dla nas. To puste miejsce po Jacku Londonie w Polsce spróbujemy wypełnić edycją najwyższej jakości. Pod każdym względem.

To wreszcie poważna szansa dla ciebie, czytelniku. I dla nas. Oraz dla prawdziwej kultury i odbioru Jacka Londona w Polsce. Rzadko zdarza się w dziejach literatury, aby jakieś dzieło wyróżniało się równocześnie wielką jakością intelektualną, artystyczną i moralną, a zarazem tak prostymi zaletami jak pasjonująca fabuła, przygoda, lekkość, odwaga, bogactwo uczuć i sytuacji, zarazem egzotyka i prosta zrozumiałość. Codziennosc i sensacja. London to pisarz dla intelektualistów i dla zwykłych odbiorców, dla młodzieży i dla profesorów, dla mężczyzn i kobiet; również dlatego, że jest on tak męski i zarazem tak uczuciowy jak najtwardszy z walczących i zarazem po kobiecemu wrażliwy.

Chyba żaden pisarz nie walczy tak śmiało i tak bez ustaniku jak Jack London. Dlatego nasza seria nosi tytuł: *Reguły walki*.

I żaden chyba pisarz nie wprowadził do literatury tak wielu mocnych, mądrych i często bohaterskich kobiet jak London, widząc i głosząc ich dumę i wspaniałą równość z mężczyznami.

Sam także przez całe życie walczył i zwyciężał. Mimo największych komplikacji w całej swojej biografii. Mimo że jego własny charakter bywał nieobliczalny, nieroztropny, i że wynikający stąd bałagan nie zawsze też najlepiej odbijał się na jego własnym życiu i twórczości.

Wyszedł z nędzy, z nizin społecznych; od najniższych zawodów i włoczęgostwa, brutalności, przez różnorodność przygód umiał dotrzeć do kariery i do wysokich sfer; do posiadłości ziemskich i oceanów na własnym jachcie; i nie szczędząc się umarł 40-letni, zaledwie po kilkunastu latach barwnych osiągnięć.

O tym również trzeba pamiętać.

Człowiek niełatwy. Życie też miał niełatwe.

Moje wykonywane obecnie przekłady dzieł Londona, których pierwszy tom stanowią niniejsze *Opowieści z całego świata*, to absolutna nowość w jego polskim odbiorze.

London był niesłychanie wyczulony na różnorodność językowej stylistyki w angielszczyźnie i osiągał w tej stylistyce mistrzowskie efekty, z jakimi trudno porównać styl któregokolwiek innego pisarza. Jeżeli w którejś powieści lub opowiadaniu występujące postacie są np. rozmaitego pochodzenia, zawodu, albo z różnych środowisk, każda z tych osób posługuje się innym stylem angielszczyzny i London precyzyjnie zaznacza i wykorzystuje artystycznie te odrębności, osiąga-
jąc w tym efekty, jakie trudno znaleźć u innych prozaików.

Również sam temat i założenia formalne każdego utworu powodują u niego zupełnie rozmaite style narracji autorskiej.

Ta wspaniałość jego prozy jest prawie niedostrzegana w krytyce i historii literatury, a także w popularnych i „naukowych” opracowaniach jego twórczości. Z czego to wynika? Może po prostu z niewrażliwości piszących o nim albo z ich braku kompetencji! a najprawdopodobniej z faktu, iż realia przedstawiane w jego dziełach oraz ich efekty fabularne, przygodowe itp. tak dalece przeważają nad formą językową i literacką, że nie dociera ona do świadomości tych „specjalistów”.

I tym bardziej – rzecz jasna – do nieudolnych tłumaczy.

Toteż w polskich przekładach, jak dotąd, w ogóle nie pojawiał się ten podstawowy aspekt prozy Londona. Ich polska stylistyka była z reguły nie tylko strasznie prymitywna, ale także fałszywa; bo w ogóle nie zauważana i nie rozumiana przez takich „tłumaczy”.

A w dodatku wyrafinowanie językowe Londona i bogactwo używanej przez niego angielszczyzny sprawiało, iż tłumacze ci w znacznej mierze po prostu nie rozumieli – albo niedokładnie rozumieli – co właściwie jest napisane i o co chodzi w amerykańskim oryginale! Zgadywali to więc na oślep i często bez związku z oryginałem i myślą Londona, a nawet w sposób odwrotny i sprzeczny z tym, co London napisał. Zdarza się, że porównując ich tłumaczenia z oryginałem trafiamy np. na akapit – albo wypowiedź w dialogu – których nie można by rozpoznać! gdyby nie to, że identyfikujemy je podług miejsca, jakie zajmują w tekście.

I tylko po tym.

Dotyczy to nieraz nawet intencji autora.

Szczególnym zaś przypadkiem są dialekty i żargony użyte w tekście, zwłaszcza zwłaszcza *Beche de Mer* czy pidżin, bardzo częste w opowieściach z Pacyfiku, gdyż tak mówią krajowcy. Że nie było to pisarzowi obce czy obojętne, widać z faktu, że cały rozdział w książce *The Cruise of the Snark* poświęcił opisywaniu tego egzotycznego żargonu. Polscy „tłumacze” przerobili to na swoje idiotyczne „moja chceć robić twoja mnóstwo za bardzo” i ten potworek niestety w polszczyźnie tak się przyjął, że stał się od pokoleń obiegowym chwytem literackim i już tylko częściowo można z niego rezygnować w przekładach np. takiej powieści jak *Adventure*, u mnie pt. *Wyspiarska przygoda*.

Swoje majstersztyki stylistyczne London nieraz wprowadza też poza dialogami, do własnej narracji edytorskiej.

Uderzający i mistrzowski przykład tego chwytu stanowią np. dwa kolejne, duże opowiadania *When God Laughs* i *The Apostate*, czyli *Kiedy Bóg się zaśmiał* i *Odszczepieniec*. London napisał te utwory kolejno po upływie czasu niedużo większym od tygodnia i w obydwu cała narracja została konsekwentnie, potężnie i ciekawie, w sposób fundamentalny dla utworu, wystylizowana; tylko że na dwa najzupełniej różne sposoby, jeden drugiemu przeciwstawne: pierwsza opowieść wyrafinowana pojęciowo i emocjonalnie, tak jak dwoje bohaterów i cała ich erotyczna problematyka; druga zaś w pojęciach, stylu i emocjach skrajnych prostaków, ukazanych w tej opowieści. Jedna i druga wymaga konsekwentnej, ogromnej i odrębnej precyzji od polskiego przekładowcy.

Czy ktokolwiek z opisanych tu poprzedników mógł, czy potrafiłby coś takiego wykonać?

Oni nawet nie dostrzegli, nie mogli dostrzec problemu, decydującego dla formy i treści tych opowiadań.

Zresztą cóż mogli spostrzec, skoro wielu wyrazów, użytych przez Londona, nie ma nawet w największych słownikach angielsko-polskich, jakimi się posługują? A tym bardziej w ich świadomości? W elementarnym rozumieniu czytanego przez siebie tekstu?

Ja to rozumiem dzięki temu, że mam odpowiednie wykształcenie literackie i językowe. A także dlatego, że spędziłem w Anglii szereg lat i rok w Stanach Zjednoczonych, żyjąc i pracując w rozmaitych środowiskach, przesiąknięwszy ich lokalną specyfiką w obyczajach, języku i sposobach myślenia. A jeżeli mi czegoś brak, to posiadam nie dwa lub trzy najnowsze, lecz kilkaset słowników z różnych czasów, miejsc i specjalności, umiając z nich korzystać tak długo, aż instykt powie mi, że już wiem dokładnie, o co chodzi. A następnie umiem po polsku.

Poza tym jestem również orientalistą i znam nie tylko Londyn, ale też kraje, ludzi, tradycje, a po części języki, obyczaje i sposób myślenia bliskich mi ludzi z Azji czy Pacyfiku.

Są mi one podobnie bliskie jak polski.

Cóż tu dodać?

Z tym właśnie podchodzę do Jacka Londona. Miałem chyba 13 lat, kiedy nie wiedząc jeszcze, że będę kiedyś tłumaczem i pisarzem, wpadłem nie wiadomo skąd i dlaczego na pomysł, jak powinno wyglądać zbiorowe wydanie dzieł Jacka Londona.

Widocznie już to i owo z niego czytałem.

W kilkadziesiąt lat później, chyba od 1967 roku, żyjąc wreszcie raz po raz w Londynie i przez większość dostępnego

czasu pracując jak nie na budowach i wśród prostych londyńczyków, to w bibliotece British Museum, metodycznie uzupełniałem rozmaite lektury i w tym komplet (na ile był tam dostępny) dzieł Londona. Już robiłem z nich prowizoryczny wybór, notatki, oceny, a także kupowałem po księgarniach i antykwariatach wszystko, co uważałem za potrzebne na dalszą przyszłość.

I znów lata przerwy. Aż w 1981 roku zamieszkałem w USA i tam już powtórzyłem sobie lub uzupełniłem wszystko, cokolwiek wydano z dzieł Londona. I skompletowałem to, co potrzebne.

W międzyczasie wydałem już ponad 300 bardzo rozmaitych książek, zarówno oryginalnych, jak i tłumaczonych z wielu języków, z prozy i poezji, nowych i starych, literackich i naukowych.

Dopiero wtedy spróbowałem, co by mogło z Jacka Londona wynikać po polsku. W rękach prawdziwego tłumacza. Niezbyt odległego, a może nawet po części bliskiego mu również umysłem i charakterem. Znalazłem na tym pobojo-wisku podobnie myślącego wydawcę. I oto początek, miejmy nadzieję, prawdziwego Jacka Londona dla Polaków.

Tysiąc śmierci

Spędziłem około godziny w wodzie, zziębnięty, wyczerpany, z okropnym skurczem w prawej łydce i wyglądało już na to, że przyszła moja ostatnia godzina. Daremnie zmagalem się z mocą odpływu. Patrzyłem na rozpaczliwie przesuwające się światła nabrzeża, lecz zrezygnowałem już z walki z prądem i poprzestałem na gorzkich myślach o swej zmarnowanej karierze, właśnie dobiegającej kresu.

Zdarzyło mi się pochodzić z dobrego angielskiego rodu, ale od rodziców, których rachunki u bankierów znacznie górowały nad ich znajomością dziecięcej natury i chowu dzieci. Urodzony ze srebrną łyżką w ustach, nie zaznałem jednak błogosławionej atmosfery domostwa. Ojciec mój, bardzo uczony i sławny archeolog, nie zaprzętał się rodziną, ciągle pogrążony w uczonych abstrakcjach swego zawodu; matkę zaś, daleko bardziej słynącą z urody niżeli zdrowego rozsądku, pochłaniały raczej wyrazy podziwu od towarzystwa, w które była wiecznie wciągnięta. A ja zaliczyłem regularny przebieg szkolnej i gimnazjalnej rutyny właściwej chłopcu z angielskiego mieszczaństwa i kiedy z upływem lat przybyło mi sił i namiętności, moi rodzice dopiero uświadomili sobie, że mam

duszę nieśmiertelną, i próbowali mnie okiełznać. Ale za późno; dopuściwszy się najdzikszego i najzuchwalszego szaleństwa; tak iż wyklęty przez społeczność, którą aż dotąd bojkotowałem, w posiadaniu tysiąca funtów, otrzymanych od ojca wraz z oznajmieniem, że nigdy już nie chce mnie oglądać i nie da mi nic więcej; zdobyłem się tylko na przejazd pierwszą klasą do Australii.

Odtąd życie moje stało się jedną długą peregrynacją – ze Wschodu na Zachód, od Arktyki po Antarktydę – aż wreszcie okazało się, że jako doświadczony trzydziestoletni marynarz w stopniu szturmana, w pełni męskiego wigoru, topię się w zatoce San Francisco przy zabójczo udanej próbie ucieczki ze swego statku. Prawą nogę ogarnął mi skurcz i dopadła mnie najdotkliwsza z męczarni.

Lekka bryza wzburzyła morze, które jęło mi chlustać w usta i w gardło, aż nie mogłem temu zapobiec.

Jeszcze utrzymywałem się wpływ, ale już tylko mechanicznie, szybko tracąc świadomość. Mgliście wspominam, jak niosło mnie przy ścianie wody morskiej i jak mignęła sterburta parowca idącego rzeką pod prąd; po czym wszystko mi zgasło.

Dobiegał mnie głuchy brzęk owada i lekki podmuch wiosennego poranka na policzku. Po trosze stało się to rytmiczne, a ciało me jakby odpowiadało na takie miękkie tętno. Unosiłem się na łagodnej piersi letniego morza, wzlatując i opadając na każdej z szemrzących fal. Lecz pulsowanie ich przybierało na sile – szumiały coraz głośniejsze – wzbierały oraz większe, mocniejsze; rzucało mną po burzliwym morzu. Dopadła mnie ciężka udreka. Jaskrawe, przerywane skry światła rozbłyskiwały w mej świadomości; w słuch raz po raz uderzały

odgłosy wód; aż buchnęło coś nieuchwytnego i przebudziłem się. W dziwnej scenerii.

Jedno spojrzenie powiedziało mi, że leżę na podłodze w kabynie jakiegoś wytwornego jachtu, w bardzo niewygodnej pozycji. Z obu stron, trzymając mnie za ręce i poruszając nimi w górę i w dół jak uchwytami pomp, widniały dwie dziwnie ubrane, ciemnoskóre istoty. Choć obyty z tubylczą większością, nie mogłem rozpoznać ich narodowości. Głowę miałem otoczoną czymś łączącym narządy oddechowe z urządzeniem, które opiszę. Lecz nozdrza zaciśnięte, co kazało mi oddychać przez usta. W skróconym ukośnie polu widzenia jakby dwie rury od sikawki, lecz w innym układzie, wychodzące mi z ust pod ostrym kątem; jedna krótko ucięta, leżała przy mnie na podłodze; druga zaś tamże, wielokrotnie skręcona, łączyła się z aparatem, który mam opisać.

W czasach, gdy życie moje zeszło na manowce, sporo się parałem nauką i znając jej laboratoryjne akcesoria, rozpatrzyłem teraz, co to za urządzenie. Składające się głównie ze szkła, należało do tych prymitywnie eksperymentalnych. Na pojemniku z wodą otoczonym komorą powietrzną, do której doczepiono pionową rurę, znajdował się kulisty próżniowy miernik. Woda w rurze poruszała się w górę i w dół, wytwarzając na przemian to wdech, to wydech, przekazywane mi przez rurę. Dzięki temu i z pomocą mężczyzn, zawzięcie pompujących moimi rękoma, podtrzymywano mi sztuczne oddychanie, z unoszącą się i opadającą klatką piersiową, z rozszerzaniem się i zaciskaniem płuc, dopóki natura nie przekona się do podjęcia swoich zwykłych czynności.

Gdy otworzyłem oczy, zdjęto urządzenia z mej głowy, nozdrzy i ust. Pochłonawszy zdrowe trzy palce brandy,

wygramoliłem się na nogi, by podziękować temu, kto mnie ocalił, i znalazłem się w obliczu... mojego ojca. Jednakże długie lata bliskiej znajomości z niebezpieczeństwem nauczyły mnie powściągliwości, chciałem się więc przekonać, czy mnie rozpozna. Lecz on nie dopatrzył się we mnie kogoś innego niżeli zbiegły żeglarz i właśnie tak mnie potraktował.

Zostawiwszy mnie pod opieką czarnuchów, zajął się sprawdzaniem notatek, jakie poczynił z przebiegu mej reanimacji. Kiedy pożywiałem się niezłym jedzeniem, które mi podano, na pokładzie wszczął się rozgardiasz i z przyśpiewek żeglarskich oraz turkotu bloków wniosłem, że odpływamy. Co za heca! Płynąć z moim ojcem, tym samotnikiem, na szeroki Pacyfik! Raczej nie przewidywałem, śmiejąc się sam do siebie, w kogo trafi ten żart. Ba, gdybym to wiedział, wyskoczyłbym za burtę i radośnie przywitał brudny forkasztel, z którego właśnie uciekłem.

Nie dano mi wyjść na pokład, aż zgubiliśmy w morzu wysepki Farallones i ostatnią łódź pilotującą. Doceniłem to rozropne podejście ojca i nie omieszkałem serdecznie mu podziękować na swój skąpy, marynarski sposób. Nie mogłem podejrzewać, że miał swój cel w ukrywaniu mej obecności przed kimkolwiek oprócz załogi. Powiedział mi krótko, że ocalony zostałem przez jego marynarzy, i zapewnił, że zobowiązanie leży po jego stronie, gdyż moje pojawienie się było nader korzystne. Skonstruował bowiem swe urządzenie dla potwierdzenia teorii o pewnych zjawiskach biologicznych i czekał na okazję użycia go.

– Posłużyłeś mi jako dowód nie pozostawiający najmniejszej wątpliwości – rzekł i dodał z westchnieniem: – chociaż tylko w podrzędnej kwestii utopienia się.

Ażeby jednak powściągnąć nieco tok opowieści, dodam, że zaoferował mi podwyżkę o dwa funty w stosunku do mej poprzedniej pensji za to, że z nim płynę, co uznałem za przyzwoite, bo nie byłem mu naprawdę potrzebny. Wbrew moim oczekiwaniom nie zostałem włączony do załogi w mieście na dziobie, lecz trafiłem do wygodnej kabiny i stołu kapitańskiego. Spostrzegłem, iż nie jestem prostym marynarzem, a ja postanowiłem skorzystać z tej okazji, by powrócić do jego łask. Wymyśliwszy sobie fikcyjną przeszłość tłumaczącą me wykształcenie i aktualną sytuację, starałem się utrzymywać z nim kontakt. Wykazałem wkrótce skłonność do badań naukowych, a on życzliwość dla moich uzdolnień. Stałem się jego asystentem z odpowiednią podwyżką płacy i niebawem, kiedy już ufnie wyłożył mi swe teorie, dorównałem mu w entuzjazmie.

Dni prędko upływały, gdyż zainteresowawszy się głęboko tą nową wiedzą, spędzałem czas wolny od snu w jego dobrze zaopatrzonej bibliotece lub wysłuchując jego planów i pomagając mu w laboratorium. Musieliśmy jednak obchodzić się bez wielu kuszących eksperymentów, jako że rozkołysany statek nie był najlepszym miejscem do prac tak delikatnych i skomplikowanych. Obiecał mi jednak wiele rozkosznych godzin we wspaniałym laboratorium, do którego zmierzamy. Wszedł bowiem w posiadanie wyspy na Morzach Południowych, jak mówił, nie ukazanej na mapach, i zamienił ją w raj naukowy.

Już po niedługim pobycie na tej wyspie odkryłem, w jaki koszmar popadłem. Było nim uczestnictwo w najbardziej szokującym doświadczeniu, jakie mogłoby się człowiekowi przydarzyć.